

Ostatnie tango w Szczecinie

PONOC lepiej późno niż wcale. Odkrycia dramaturgiczne trafiają niekiedy do Szczecina na zasadzie echa w wielkim lesie, gdy zdążyć już wybrzmieć nie tylko na stołecznych scenach. Jakże mogą być tego faktu ujemne skutki, może świadczą ostatnia premiera „Tanga” Sławomira Mrożka. Jakżeż bowiem znaleźć klucz do pełnego odczytania Mrożka nie rozmakowawszy uprzednio w Witkacym, którego częstokroć ujawnił nam dopiero nie tak dawno Strokowski „Janem Maciejem Karolem Wścieklicą”. Gdy wyróżzni „Tango” nadejdą „Szwacy” tegoż Witkacego — czyż to nie paradoks?

ALE NIECH TAM, wróćmy do Mrożka. Prześmiewca mitów narodowych znakomity parodysta wieszczów a przede wszystkim doskonały architekt satyry Mroźek rozkłada przed nami bogaty zestaw uniwersalnych klocków do zabawy, z których zbudować możemy wielorakie figury architektoniczne. I tak, jak jest to zależne od skojarzeń, pomysłowości dziecka tak jego dramaturgia, ukryte w niej podteksty, może być odczytana zależnie od skojarzeń, bardzo różnie, w zależności od czasu, miejsca i, oczywiście, widowni. Największą jednak jego zaletą jest łatwość z jaką wciąga do zabawy całą widownię.

Brak elitarności? Zanim złożymy ręce do okłasków chwila refleksji. Uniwersalizm dramaturgi Mrożka nie wyklucza przecież dopustu odczuć subtelniejszych. Na wyższym piętrze świadomości i wrażliwości. Były tylko drążyć we właściwym miejscu no i do właściwej głębokości. Mroźek miał siłę przebicia się na światowe sceny. Rzadki to w naszej dramaturgii przypadek. Pamiętajmy: „Tango” powstało w okresie prosperity teatru absurdu,

gdy triumfy święcili Jonesco, Beckett, Genet i inni. Dziś to już niewiele bawi, jeszcze mniej wzrusza, nikogo zaś nie przestrasza. Teatr minął kolejny zakręt, dziś dostatecznie sumiennie sklasyfikowany. W tym kontekście „Tango” może zaistnieć jedynie naprawdę jako sztuka nie tyle uniwersalna co właśnie polska, nawiązująca w sposób przewrotny, czasami wręcz sarderscy, do narodowej klasyki. I tu rzeczywiście odbijają się jakby w krzywym zwierciadle uniesienia romantyków, rozrachunki z Wyspiańskim, pobrzmiewają echa niepowtarzalnych poetyk Witkacego. Atak idzie w utworze zdecydowanie w inteligencję. Zarówno na płaszczyźnie społecznej jak i obyczajowej. Mroźek, postępując się wyrazistymi przerysowaniami, odsłania jej zakłamanie, ukazuje miłość moralną, bagienko zręcznie ukryte za parawanem rzekomej wolności przekonań. Atakuje z perspektywy historycznej. W „Tangu” mamy aż trzy pokolenia. Najstarsze — Eugenia i Eugeniusz w stanie zupełnego rozkładu. To raczej uległa bezwolna masa pozbawiona jakichkolwiek ideałów. Stomil — pokolenie szychyku upadku norm moralnych, widzące szansę przetrwania jedynie w ponadracjonalnym eksperymencie, w zamaskowanych pseudonaukowych poglądach na sztukę i życie „w ogóle”. To chore od korzeni drzewo genealogiczne wydało owoc w postaci Artura, chorobliwego intelektualisty, Artur zjawia się aby przywrócić ład w rodzinie. Tak to przynajmniej z pozoru wygląda. Mroźek doprowadza rzecz do typowego absurdu. Odwraca znaczenie pojęć. Eksperymenty „w ogóle”, czyli dziwność stosowana Stomila, staje się odruchem na tyle zasklepiłym abyśmy

mogli przyjąć ją jako oblegową, trwałą normę postępowania. Nie tyle jednak z potrzebą naturalnej, co sprytnie wymyśloną dla własnej wygody. Artur pragnie zerwać Stomilom tę maskę, śni swój sen o czynnie oczyszczającym, o własnej wielkości. Hasłami godnymi mistycznych porwołów powiewa niby efektywnym standardem tyle, że bez drzewca. Zabrakło oparcia w rozumie, opuszcza go woła. Edek to jedyna gałąź spoza spróchniałego drzewa Stomilów. Byczysko proste, chamskie, typowy fagas na zawołanie, podsypiający beztrudko z żoną Stomila — Eleonorą. Przyszał się do rodzinnego złoba i ani myśli odejść. Niewiele też sobie robi z pogroźką Artura, leniwie prezentuje swą krzepę — zda się być nieświadom układów rodzinnych. I gdy Arturowi zabrakło oparcia w samym sobie szuka pomocy ostatecznej właśnie u Edka. Artura stać na wykończenie babki, Edek jak potężne koło zamachowe jest w stanie wykończyć całą rodzinę. Wykańcza jedynie Artura, reszta jest już podporządkowana. Łagodne tango „La Cumparsita” powinno zabrzmieć groźniej niż chochoł taniec z „Wesela”. Właśnie powinno. Bo w spektaklu Grudy jednak nie brzmiał. Końcowy taniec nie ma już dawnej grozy. Absurdalny dowcip tej komedii nie został należycie wypunktowany przez aktorów. Farsowość scen okazuje się przybladła. Coś się zaczyna dziać w akcie trzecim za sprawą Zbigniewa Samogranickiego. Jako Artur szamoce się, wleżga konwulsyjnie tak wspaniale, że gotów jestem wwaterzyć w jego teatralną epilepsję. Obawiam się jednak, że nie o takie wrażenie tu jednak chodzi. Gdzieś tu wadzenie się z Konradem wleżca Adama, toż epilepsja nie jest cho-

robą z urojenia. Scena mistycznych unlesień Artura jest moim zdaniem o półtora tonu za wysoko, jakby nie z tej operetki. Nie jest to zresztą jedyny dysonans w tej sztuce. Edek — fagas z epoki trójstępnownej świtskiej zeldówki chce być na się zabawny. I jest zabawny tylko, że niewiele z tego wynika. Andrzej Saar, odtwórca tej roli, kolkietuje nas komizmem postaci. Szczególnie w akcie trzecim. W sumie jest ciągle taki sam. Wygląda to mniej więcej tak jakby śpiący niedźwiedź nie został w finale dobudowany. W końcowej agresji zabrakło racjonalnej dialektyki absurdu. Józef Jachowicz jako wuj Eugeniusz trua w zawieszaniu między Mroźkiem a Baluckim niestety. Natomiast ciekawie rozegrał partię Stomila Jerzy Kownas. Świetna jak zwykle Krystyna Feldman w roli babki Eugenii oraz Gabrieła Sarnecka która stworzyła barwną, najbliżej chyba w konwencji Mrożka postać Ali narzeczonej i niedoszłej żony Artura. Anonсоваłem Sarnecką jako odkrycie sezonu. Z zadowoleniem stwierdzam, iż potwierdziła ona duże możliwości i niewątpliwy talent. O Irenie Grzonce niewiele można powiedzieć. Jako Eugenia snuje się przez trzy akty a pożytku z tego niewiele. Scenografia Małgorzaty Treutler bez uduwnień, oddająca klimat mieszczańskiego salonu w uersji swobodno-rodzinnej i nowobogackiej.

NO COŻ, nie będę ukrywał, że „Tango” trudno zaliczyć do najwybitniejszych osiągnięć Józefa Grudy. Kto wie, może w tym wypadku zawiodło go przekonanie o niepodważalnej aktualności „Tanga”. Zrezygnował z ustawienia sztuki w konwencji teatru absurdu. Poszedł raczej w kierunku uniwersalnego moralitetu. Ale coś tu się jed-

nak zatario. Może czas nieublagany. Więc jeszcze raz postawię przed teatrem pytanie, tym razem retoryczne: może warto nadążyć za aktualną dramaturgią? Tak czy owak coś w tym jednak być musi.

BOGDAN WOJTCZAK

SŁAWOMIR MROZEK. „TANGO”.
Reżyseria: Józef Gruda, scenografia — Małgorzata Treutler.
ra: 3 maja 1974 r.



W jednej ze scen spektaklu od lewej Krystyna Feldman i Jarosław Jordan. Foto: Z. Jodkowski